RĘKAWICA

Teatry terenowe zbuntowały się i zawiązały federację.

Marek Arpad Kowalski

NIEKTÓRE środowiska teatralne poczuły się zatrwożone. Barbarzyńca wtargnął do ogrodu sztuki. Tym barbarzyńcą ma być Izabella Cywińska. Brzmi to paradoksalnie, bo sama przecież wywodzi się z kręgów scenicznych, ale gdy rzecz zaczyna dotyczyć finansów, wówczas sentymenty często ustępują na drugi plan.

Najpierw było zaniepokojenie wypowiedziami przyszłej jeszcze pani minister przed sejmowymi komisjami.

Później, już po objęciu urzędu, gdy do opinii publicznej zaczęły przenikać wypowiedzi min. Cywińskiej o roli resortu, dotacjach, pieniądzach, sponsorach i mecenasach, zaniepokojenie jęło zamieniać się w obawę.

Kielich goryczy został przepełniony podczas niedawnego zjazdu ZASP. Wówczas to min. Izabella Cywińska raz jeszcze, a co gorsza na profesjonalnym forum, potwierdziła, że na dotacje może liczyć 20—25 teatrów. I tak zabrzmiało to lepiej, niż wcześniejsze przymiarki mówiące o kilkunastu najwyżej teatrach.

Istnieją w Polsce 54 teatry dramatyczne. O różnym znaczeniu i osiągnięciach, usytuowane w dużych miastach i na tzw. prowincji, z rozmaitą obsadą aktorską, o bardzo odmiennej frekweneji publiczności. Niektóre prowincjonalne mogą poszczycić się sukcesami, niektóre wielkomiejskie ledwie wegetują. Ministerialna idea jest taka, że resort powinien wspierać te dobre, a także — niezależnie od konkretnej sceny — wybitnie wartościowe dokonania. Przeciętna reszta powinna radzić sobie sama. W ogóle zaś przewiduje się ich przejście na garnuszek władz lokalnych, samorządów itd. Jeśli więc jakaś społeczność wojewódzka chce utrzymywać teatr, niezależnie od jego kondycji finansowej i artystycznej, jest to sprawa tej właśnie społeczności. Jeśli nie — wówczas teatry mogą jeszcze walczyć o swoją egzystencję szukając sponsorów, podejmując wszelkie inne działania dla podreperowania własnego budżetu, jeśli samorządowy czy lokalny okaże się przed nimi zamknięty. Nie ma bowiem powodu, by utrzymywać sceny fasadowe bądź liche z pieniędzy państwowych czy też publicznych.

Filozofia ta spotkała się z oburzeniem części środowiska, głównie jego części terenowej. Zrozumiałe, że akurat tej. Albowiem, jak powiada się tam, sceny wielkomiejskie są w lepszej sytuacji. W dużych aglomeracjach łatwiej znaleźć jakiegoś mecenasa, jeśli nawet rada narodowa umyje ręce. Po drugie — kilka teatrów w mieście to zmniejszenie groźby bezrobocia dla aktorów. Zawsze jest jakaś szansa na przeniesienie się z jednego do drugiego, a gdy w dodatku w takim mieście znajduje się jeszcze rozgłośnia radiowa czy — co lepiej — ośrodek telewizyjny, wówczas zawsze gdzieś się można przytulić. Ale co w tej sytuacji mają robić zespoły prowincjonalne?

Podjęły przeto wyzwanie min. Cywińskiej i podniosły rzuconą przez nią rękawicę. Liderem zbuntowanych stał się Teatr Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu, który według tamtejszych zapewnień finansowo ma się nie najgorzej. To znaczy jego własne dochody plus dotychczasowe dotacje bilansują się z kosztami. Mogą być straty, ale w granicach rezerw pieniężnych, jakie sobie do tej pory wypracował, chociaż raczej strat nie przewiduje i liczy na to, że wyjdzie w najgorszym razie na zero. Obawia się jednak o przyszłość, a konkretnie o to, czy lokalny budżet nie będzie nań skąpił pieniędzy.

Grudziądzki teatr wystosował więc zaproszenie do dyrektorów ponad trzydziestu teatrów prowincjonalnych na naradę w celu wspólnego stawienia czoła zagrożeniu, czyli zakręceniu kurka dotacji przez ministerstwo.

Miało to być działanie obronne przeciw odgórnym woluntarystycznym decyzjom zapadającym w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu. Albowiem postanowienie min. Izabelli Cywińskiej o wstrzymaniu dotacji odczytano w ten sposób, że będzie ona likwidować teatry. Wprawdzie odżegnuje się ona od jakichkolwiek tego typu działań, wszakże dla niektórych dyrektorów odstawienie od garnuszka resortu jest widocznie tożsame z likwidacją. Zresztą do takiego widzenia sprawy przyczyniło się nieprecyzyjne zrozumienie słów pani minister, które urosło w plotkę.

Później stanowisko się zmieniło, lecz oburzenie pozostało. Bo dlaczego ktoś w gmachu ministerstwa ma oceniać, jaki teatr jest najlepszy, a jaki średni czy wręcz zły? Tym bardziej, że nikt z nimi nie rozmawiał, nie zaprosił na naradę, by mogli przedstawić swoje racje. A także dlaczego liczba dotowanych przez resort teatrów ma być dopasowana do podjętej gdzieś tam odgórnie teoretycznej koncepcji?

Wszakże z ponad trzydziestu potencjalnych uczestników obrad, w Grudziądzu zjawili się jedynie dyrektorzy teatrów z Gniezna, Jeleniej Góry, Koszalina i Wałbrzycha. Pozostali odpisywali uprzejmie, że owszem, są zainteresowani, ale... Część poczuła się bowiem dotknięta, gdyż nie uważają się za teatry prowincjonalne. Niektórzy, zwyczajnie, bali się wziąć udział w tym posiedzeniu, traktując go chyba jako spisek. Bo przecież nie było zgody ministerstwa na taką naradę, resort nic o niej nie wie, nie jest uprzedzony, może się obrazić.

W rezultacie pięciu odważnych i zdeterminowanych dyrektorów powołało Federację Teatrów Terenowych, otwartą dla każdego, kto zechce do niej wstąpić.

Zadaniem Federacji jest przede wszystkim stworzenie banku informacji o aktorach pozostających bez obsady. Można wówczas proponować takim przeniesienie się na inną scenę, do innego miasta. Powiedzmy, że w Wałbrzychu jest pięciu amantów, zaś zapotrzebowanie tamtego zespołu to tylko dwóch aktorów w tym emploi — wówczas proponuje się pozostałej trójce przeprowadzkę, załóżmy, do Gniezna i Grudziądza, gdzie brakuje aktorów o takiej charakterystyce. Federanci liczą się też z tym, że teatry z dużych miast będą pozbywały się aktorów ze swoich trup. Niekoniecznie miernych, ale dlatego, że zespoły są zbyt liczne. Wówczas t[illegible] zrzeszone w Federacji chętnie ich [illegible]nią, bo i tak mają kłopoty z pełnymi [illegible]mi. Oczywiście do tego wszystkiego potrzebne są mieszkania w tych miastach. Podobno rezerwa jest.

Drugim zadaniem jest stworzenie banku doświadczeń o działaniach mających zapewnić finansowy byt. Na przykład Teatr Bałtycki w Koszalinie podzieli się z innymi informacjami, jak to u siebie zakłada galerię sztuki połączoną ze sprzedażą dzieł, że zamierza udostępniać salę na koncerty muzyczne (za opłatą), że chce stworzyć pod swoją egidą klub środowisk twórczych (dochód z gastronomii), a także zostać wydawcą — uruchomić małą poligrafię, która drukowałaby książki o tematyce teatralnej i w ogóle kulturalnej.

Trzecie zadanie, to zwiększenie siły każdego z pojedyńczych teatrów. Jako federacja mają większe szanse na rozmowy z lokalną administracją, samorządem, związkami twórczymi, organizacjami.

Wszystkie te poczynania zostały podjęte — z dzisiejszej perspektywy — nieco na wyrost, gdyż teatry jeszcze dostają dotacje. Ale i tak niebawem zapewne wejdzie w życie stosowna ustawa, która przeniesie te sceny na garnuszek budżetów terenowych. W istocie więc jest to przygotowywanie się do tego, co nastąpi w przyszłym roku.

Otóż z buntu tego najbardziej jest zadowolona min. Izabella Cywińska. Albowiem zawiązanie Federacji Teatrów Terenowych świadczy o tym, że nie czekają one biernie na to, co przyniesie przyszłość, nie wyciągają ręki do resortu, lecz same starają się zaradzić niebezpieczeństwom. Innymi słowy wykazują inicjatywę i pomysłowość w odciążaniu budżetu państwa i w wykazywaniu własnej niezbędności kulturotwórczej. Nie oglądają się też na odgórne zalecenia, lecz same starają się kształtować własną rzeczywistość. A o to właśnie chodzi w obecnej filozofii ministerstwa — by wszyscy starali się czynić to, co do nich należy, bez zdawania się na łaskę państwowego mecenasa.

W gruncie rzeczy więc spiskowcy z Grudziądza znaleźli uznanie za pomysłowość i determinację, co może być dobrym przykładem dla pozostałych, nie tylko zresztą teatrów, ale i innych instytucji kulturalnych. Rzecz dziś polega bowiem na tym, że warto buntować się przeciwko zmurszałym strukturom.